

N
I
E
P
O
K
Ó
J



NUIN NIEPOKÓJ



KRZYSZTOF FISZER

Tytuł: Niepokój

Seria: Opowiadania niezależne

Tom: 4

Autor: Christopher Nuin

Oprawa graficzna: Christopher Nuin

2025 © Krzysztof Fiszer / Christopher Nuin
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Pierwsze wydanie, 14 grudnia 2025 r.
ISBN 978-83-976923-7-4

Wydawca:
Krzysztof Fiszer
www.christophernuin.online

Ciemność.

Przytłaczająca ciemność.

Wydostanie się z niej przypominało beznadziejną próbę wypłynięcia na powierzchnię oceanu smoły. Do jej duszy nie docierał nawet najmniejszy promyk światła. Ciało stawiało opór, którego nie potrafiła pokonać siłą woli. Czuła się od niego oderwana, zupełnie jakby to, czym się stała przez noc, było zbyt drobne i za słabe na poruszenie tej kolosalnej glinianej powłoki.

Przejmowanie władzy nad własnym ciałem po śnie mającym w sobie więcej ze śmierci niż błogich dziecięcych marzeń było bolesnym doświadczeniem. Mozolnie wlewała resztki swej duszy w drętwie ramiona i nogi, by je poczuć i móc nimi poruszyć. Gdy w końcu je poczuła, zalała ją fala tępego bólu rozbudzonych nerwów ciała zastygłego w czasie. Noc liczyła sobie zaledwie kilka godzin, lecz czuła się jak z mumifikowane zwłoki wydobyte z głębin bagna, zatrute, ciężkie i nienadające się do użytku.

Dziewczynka z trudem otworzyła suche, piekące oczy. Wpierw przestraszyła się, gdy niczego nimi nie zobaczyła, po czym zrozumiała, że leży zakopana w barłogu brudnych poduszek i kołder. Powietrze pod nimi uwięzione cuchnęło gorzko i miało w sobie niewiele tlenu, co obudziło w niej potrzebę wydostania się na zewnątrz, włączyło potrzebę niedającą wiele motywacji do działania. Przez chwilę rozważała wybór pozostania w tym zatęchłym miejscu na zawsze. Pociągała ją wizja poddania się stagnacji i uczuciu beznadziei oraz powolnego rozkładu, aż nie pozostałoby po niej nic.

Nagły ból pustego żołądka domagającego się dostawy pokarmu zagłuszył wszystkie myśli wypełniające jej na wpół uśpiony umysł, stając się siłą motywującą i dominującą. Nie mogąc oprzeć się mocy tej prymitywnej potrzeby, dziewczyna wyczołgała się spod kołder.

W pomieszczeniu panował półmrok niespowodowany ani porą dnia, ani pogodą, lecz opłakany stanem okna, którego brudne szyby były tak ciemne, że wpuszczały do wnętrza niewiele światła słonecznego, a tym samym niewiele nadziei na dobry dzień.

Sama sypialnia również nie była manifestacją czystości i dobrobytu. Panowały w nim bród, bałagan i zaniedbanie wszystkiego, co się w niej znajdowało, włącznie z dziewczynką, która przyglądała się sobie w małym lustrze ustawionym na biurku. W szkle zwierciadła

brakowało dolnego prawego rogu, a sama tafla była mętna. Jej odbicie wyglądało mizernie, panujący półmrok tylko pogłębiał wszystkie ostre rysy i cienie oszpecające jej dziecięcą twarz. Nie podobała się sobie i nie mogła odsunąć od siebie uczucia, że spogląda na zupełnie nieznaną sobie osobę.

Przed lustrem na blacie biurka leżał na pleckach pluszowy miś o odrażającym wyglądzie, który mógł być efektem wieloletniego zaniedbania bądź niedawnego, wściekłego przepychania zapchanej muszli klozetowej.

Burczenie żołądka pchnęło dziewczynkę w kierunku wyjścia prowadzącego na korytarz. Będąc u progu usłyszała za sobą lekkie skrzypnięcie drzwi starej szafy, nie obejrzała się jednak za siebie, aby na nią spojrzeć, ponieważ obawiała się istoty zamieszkującej mroczne wnętrze tego mebla. Wstrzymała jednak kroku, nie wiedząc, czy powinna zostawić pluszowego misia i wrócić po niego później, czy zabrać go ze sobą już teraz. Przeczukiwała, że nie zdobędzie się na odwagę, by powrócić do swojego pokoju po jego opuszczeniu, teraz gdy szafa została otwarta.

Dziewczynka doskoczyła do biurka, podniosła mokrą maskotkę, po czym podług wątych sił wycisnęła z niej tyle brudnego płynu, ile zdołała. Ciemna woda spłynęła po blacie biurka na jej bose stopy i zaplamiony dywan, ale ona wcale nie przejmowała się całym tym brudem. W jej domu nikt nie przykuwał do tego wielkiej wagi.

Przytuliwszy wilgotnego misia do piersi, dziewczynka wybiegła z sypialni i ruszyła korytarzem do kuchni. Mijając pokój jej starszego brata, spojrzała przez szparę uchylonych drzwi, chcąc zrozumieć, co oznaczają odgłosy szamotaniny dobiegające zza nich. W prześwicie wejścia dostrzegła część łóżka a na nim nagi tułów brata zmagający się w niezrozumiałych dla niej konwulsjach z czymś, co przypominało różowy balon. Jej brat robił wiele rzeczy, których nie potrafiła zrozumieć, a jego nieustanne ignorowanie istnienia młodszego potomstwa nie pomagało w utrwalaniu rodzinnych więzów, za to czyniło cuda w kwestii pogłębiania rosnącej pomiędzy nimi przepaści.

Wiedziona niewinną ciekawością dziecka dziewczynka podeszła bliżej, po czym wsunęła główkę w szparę, by lepiej widzieć, co też jej brat wyprawiał z tą dziwną zabawką, która okazała się być czymś w rodzaju nadmuchanej lalki o szeroko rozwartych ustach. Dźwięki

wydobywające się z gardła chłopaka w tandemie z grymasem bolesnej namiętności malującej się na jego twarzy rozbawiły ją, ale co mogła na to poradzić; scena odgrywająca się przed nią po prostu wyglądała głupio i śmiesznie. Choć obiecała sobie, że będzie chicho, żeby nie zostać odkrytą podczas wtykania nosa w nie swoje sprawy, nie mogła powstrzymać śmiechu gromadzącego się w gardle.

Gdy chłopak spojrział w jej kierunku, dziewczynka szybko zatrzasnęła drzwi i czym prędzej czmychnęła, by uniknąć kary za swój występki. Kary, która na pewno by na nią spadła. Nie miała co do tego wątpliwości, ponieważ dostrzegła mieszkankę uczuć na twarzy brata, gdy ich oczy się spotkały — wstyd, upokorzenie, ból i nienawiść.

Uciekając przed zemstą jedyne rodzeństwa, jakie miała, wbiegła do jadalni łączonej z kuchnią. Spojrzała za siebie, by sprawdzić, czy zobaczy za sobą brata płonącego żądzą zemsty, lecz nie dostrzegła niczego poza odległym widokiem jej szafy, której drzwi były otwarte coraz szerzej. Oderwała od niej wzrok i przyjrzała się rodzicom siedzącym przy stole zastawionym imponującą ilością brudnych naczyń i sztućców. Niestety, nie zobaczyła na nim niczego wolnego do spożycia. Jedyne jedzenie na stole znajdowało się na talerzu ojca, który nie zwracał na nią uwagi. Miała nadzieję, że tak pozostanie. Nie chciała ściągać na siebie gniewu ojca, który aktualnie był skierowany w swej pasywnej formie przeciwko jej matce.

Ojciec był w trakcie posiłku, który musiał mu nie smakować, ponieważ przy każdym przeżutym kęsie grymas wykrzywający jego czerwoną twarz wyrażał odrazę i przymus podyktowany skrajną biedą. Oblicze jej matki było szare jak popiół, oszpecone głębokimi cieniami pod oczami spowodowanymi niedożywieniem i złą dietą, a także sińcem i opuchlizną na szczęcie — pamiątce po wczorajszej długiej kłótni z mężem, która przerodziła się w rękoczynny.

Dziewczynka nie chciała na nich patrzeć. Dawno temu zrozumiała, że nie może polegać na swoich rodzicach w żadnej kwestii, czy to wyżywienia, higieny, bezpieczeństwa, czy wykształcenia. Jedyne co od nich otrzymała w nadmiernych ilościach to obojętność, pogarda i wymuszone poczucie winy. Było dla niej oczywiste, że rodzice obwiniali ją o pogarszający się stan ich rodziny, o pogłębiającą się biedę, o problemy zdrowotne i o wszystko, o co tylko mieli ochotę ją obwinić, nawet paskudną pogodę.

Dziewczyna obróciła się od nich plecami, próbując tym samym dać im do zrozumienia, że nie potrzebuje ich do przetrwania. Podeszła do lodówki i otworzyła ją, żywiąc cichą, naiwną nadzieję, że znajdzie w niej coś, czym przegoni ból zagłodzonego żołądka. Widok jej pustego, brudnego wnętrza zawiódł ją bardziej niż mogłaby tego oczekiwać. Każdego dnia przekonywała siebie, że wie już wszystko na temat braku kompetencji swoich rodziców. Była pewna, że już w żaden sposób nie będą jej w stanie zranić ich brakiem odpowiedzialności i zaniedbaniem obowiązków rodzicielskich. Tymczasem każdy nowy, mały ból przy umierającym płomyku nadziei udawał jej, że się myliła. Rozczarowana i smutna zamknęła ciemną lodówkę, tym samym przerywając dobywający się z niej strumień smrodu — ich mieszkanie nie miało prądu od kilku tygodni.

Z wyrzutem w spojrzeniu dziewczynka popatrzyła na rodziców, ale ci nadal nie poświęcali jej uwagi. Matka patrzyła tępo w blat stołu, uwięziona w odrętwieniu podyktowanego strachem, a ojciec nadal zmuszał się do zjedzenia zepsutego jedzenia.

— Wychodzę na podwórko — powiedziała do rodziców, lecz nie doczekała się ich reakcji.

Dziewczyna wyszła z kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Przystanęła, by spojrzeć w kierunku pokoju brata, lecz ten był szczelnie zamknięty. Czując, że brat jej nie zagraża, ruszyła dalej ku drzwiom wejściowym. Jej wzrok przesunął się po wejściu do jej sypialni, przez który widziała szafę, teraz całkiem otwartą a ciemność w niej zawarta zaczęła przybierać fizyczną postać — nadal niewyraźną i niezrozumiałą, lecz przerażającą. Dziewczynka przyspieszyła kroku, wpadła do przedpokoju, szybko nasunęła na bose stopy brudne, stare halówki, następnie wyszła z domu i zatrzasnęła drzwi. Miała nadzieję, że to przynajmniej spowolni nadchodzącą ciemność. Nie łudziła się jednak, że w taki sposób ją powstrzyma.

Stan podwórka przed ich domem tylko pogłębiał jej niechęć do miejsca, w którym mieszkała, a co za tym idzie, do jej rodziny i samego życia. Od kilku lat nie było to już bezpieczna przestrzeń przeznaczona do dziecięcych zabaw, lecz wysypisko śmieci. Był to pejzaż złożony ze stert odpadów produkowanych przez jej rodzinę na przestrzeni lat. Niektóre z nich były tam, odkąd sięgania pamięcią; być może były starsze od niej samej.

Dziewczynka skrzywiła się lekko na ten widok i towarzyszący mu zapach, ale była tak do nich przyzwyczajona, że nie potrafiła czuć głębokiej odrazy do tego stanu rzeczy. Obejrzała się na drzwi wejściowe, gdyż zdawało jej się, że usłyszała dobiegające zza nich skrobanie w drewno. Ruszyła czym prędzej przed siebie w poszukiwaniu pożywienia gdzieś indziej. Rozgrzebywanie tej sterty domowych śmieci nie miało najmniejszego sensu. Nigdy nie znalazłaby w nich niczego do spożycia; wiedziała o tym aż za dobrze. Przez chwilę rozważała wyłapanie i połknięcie tłustych much latających liczną chmurą nad jej podwórkiem, lecz ich kolor zniechęcił ją do działania. Muchy były błyszcząco-zielone, co znaczyło, że miały w zwyczaju stołowanie się na odchodach. Zjedzenie ich byłoby równoznaczne ze spożyciem gówna, a ona gówna jeść nie chciała.

Dziewczynka wyszła przed posiadłość rodzinną, którą wypłuła ją jak odpad marginesu społecznego na spękany asfalt prowadzący w prawo do odległego, wielkiego miasta, którego nigdy nie widziała. W lewo jezdnią prowadziła do najbliższej wsi, której oglądać nie chciała, ponieważ nie знаła nikogo z jej mieszkańców. Interesowała ją tylko jedna droga, ta po drugiej stronie asfaltu — polna ścieżka wydeptana przez nią i jej brata. Prowadziła ona na przełaj, przebiwała się przez zagajnik, by na ostatecznie obieć cmentarz i skończyć się przed kościołem i sąsiadującą z nim plebanią. To właśnie tam pragnęła się udać. Ta ścieżka bardziej zawdzięczała swe istnienie chodzeniem po jałmużnę do proboszcza niż pobożnemu uczęszczaniu na nabożeństwa kościelne.

Dziecko przebiegło przez ulicę, a palce u jej stóp wyzierały przez dziury na czubkach podartych halówek. Pluszowy miś był z nią nadal. Choć ciężko uwierzyć, że tak poniszczona, brudna zabawka potrafiła dostarczyć jakimukolwiek dziecku otuchy, to dzięki niej dziewczynka nie czuła się aż tak osamotniona. Będąc już na polnej drodze, po raz kolejny spojrzała w stronę domu. Dostrzegła, że jego wejście było już otwarte, a to co w nich stało nie było jej ani rodzicami, ani jej bratem. Przestraszona przyspieszyła kroku i popędziła co sił w wątych nóżkach ku plebanii.

Parła dalej przed siebie pchana siłą ogromnego głodu, a także strachem przed ciemną marą podążającą jej tropem. Znalazłszy się blisko drzew, usłyszała piskliwe okrzyki dobiegające z naprzeciwka.

Pomiędzy drzewami przemykały niskie sylwetki rozwrzeszczanych dzieci, które rzucały fragmentami suchych gałęzi i kamieniami w korony drzew. Co rusz wskazywały palcami na coś pomiędzy konarami u szczytu drzewa, wokół którego się zgromadziły oraz rozkazywały sobie wzajemnie jak rzucać, w co celować, jak nie rzucać, z jaką siłą i pod jakim kontem, by trafić w ich cel. Każdy nieudany rzut nagradzały soczystą wiązką wyzwisk i przekleństw. Po ich głosach i manierze, w jakiej ze sobą rozmawiali, dziewczynka rozpoznała, że ta czwórka wandali, których nienawidziła swym całym sercem, to bę-karty księdza — dwie córki i dwóch synów w różnym wieku; wszyscy od niej starsi.

Ich zachowanie zaciekało ją do tego stopnia, że zapragnęła dowiedzieć się, co próbują strącić na ziemię. Jednocześnie nie zamierzała się do nich zbliżać, gdyż nie chciała być przez nich zauważoną. Gdyby ją dostrzegli, na pewno spróbowaliby wyrządzić jej krzywdę. Tak, jak ubiegłego lata, gdy rodzice wysłali ją do księdza prosić o jałmużnę, jego dzieci przechwyciły ją, nim do niego dotarła; zaraz po tym przywiązały ją do drzewa, obcięły jej włosy nożyczkami i zostawiły ją zupełnie samą. Spędziła tak, płacząc i wołając o pomoc, wiele godzin do czasu aż gospodyni z plebanii ją odnalazła.

Niechęc do jej prześladowców i wizja cierpienia nowych katuszy, których mogłaby zaznać z rąk tych oprawców, przekonały ją, by trzymać się od nich z daleka i czym prędzej bezgłośnie się oddalić. Choć zdarzało się jej być ciekawską, to tym razem wołała nie kusić losu. Czymkolwiek był ich cel, nie wydawał z siebie żadnego dźwięku swej obecności. Jedynym świadectwem jego istnienia, jakie dostrzegła, było bardzo długie, szare pióro, które powolnie spłynęło z korony bombardowanego drzewa. Dziewczynka uznała, że musiał to być jakiś wielki ptak, raczej niegodny jej zainteresowania, po czym pobię-gła dalej ścieżką, którą podążała.

Nie minęło wiele czasu, gdy wydostała się z obszaru leśnego na otwarty teren, na którego horyzoncie sterczała spiczasta wieża dzwonnicy kościoła. Gdy uszła połowę drogi ku niemu, ponad nią z głośnym trzepotem przeleciał ptak. Być może ten sam, którego zamęczały proboszczowe dzieci. Leciał szybko, lecz na tyle nisko, by dziewczynka zrozumiała, że nie był to żaden ptak, ale nagie człeko-kształtne stworzenie o ogromnych skrzydłach. Nigdy czegoś takiego

nie widziała. Była tym widokiem tak zafascynowana, że jej nogi same przyspieszyły kroku, byle by tylko nadążyć za niezwykłym zjawiskiem i nie stracić go z oczu. Żywiła nadzieję, że czymkolwiek był ten stwór, uda się jej zobaczyć go z bliska. Ekscytacja zapłonęła w jej piersi, gdy tylko przypomniła sobie wyblakły obrazek przyklejony do drzwi lodówki, przedstawiający uskrzydloną, piękną postać w białych szatach.

— To anioł! – zrozumiała. – To musi być anioł!

Gdzieś w oddali za nią rozbrzmiewały dziecięce okrzyki złości. Musiały to być wrzaski gromady niegdyś prześladowanej ją, a tym razem także i niewinnego anioła. Dziewczynka przestraszyła się tego pościgu, wiedziała bowiem, że nie zdoła im uciec, jeżeli tylko ją dostrzegą i zechcą ją pochwycić. Na jej szczęście mijała właśnie otwartą bramę cmentarza. Bez zastanowienia wbiegła na jego ziemię, po czym ukryła się za szerokim grobowym pomnikiem wzniesionym z czarnego marmuru. Przykucnęła za nim. Przytknęła policzek do zimnej powierzchni monumentu, przycisnęła brudnego misia do piersi i czekała, aż zgryza dzieci minie cmentarz i od niego się oddali.

Ich głosy były coraz bliżej, a jej serce biło coraz mocniej. Szykowało ciało i umysł do nagłej ucieczki, lecz zupełnie niepotrzebnie, ponieważ z fragmentów posłyszanej rozmowy pojęła, że nie grozi jej z ich strony niebezpieczeństwo, gdyż wcale jej nie widzieli. Zależało im tylko na aniele, którego wcześniej przegoniły z lasu.

Dziewczynka nie musiała długo czekać w ukryciu, gdyż pościg pognął za swą zwierzyną. Podniosła się i wyjrzała zza nagrobka, by sprawdzić, czy droga przed cmentarzem była pusta. Nie była. Pod łukiem bramy ozdobionym białym napisem wieszczącym „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”, stała czarna szkaradna mara. Wiedząc, że nie zdoła jej umknąć, gdyby wybrała drogę, z której przyszła, dziewczyna odwróciła się na pięcie i pobiegła na tyły cmentarza. Ubiegłego roku został on poszerzony o dodatkowy akr ziemi, a jego tyły nadal nie były ogrodzone. Choć była to względnie bezpieczna droga ucieczki, nie cieszyła ją myśl o przedzieraniu się przez zarośla dzikich łąk leżących pomiędzy cmentarzem a kościołem. Jedyne pocieszenie stanowiła myśl, że być może śledzący ją potwór zgubi jej trop, gdy ta zniknie mu z oczu w gęstych chaszczach.

Po długim i żmudnym brnięciu przez łąki dziewczynka dotarła na tyły ogrodzonego terenu przylegającego do kościoła. Głód wykręcał jej wnętrzności. Choć była na skraju wycieńczenia — a nowo nabyte otarcia i zadrapania pogarszały jej samopoczucie — to nie zamierzała się poddać, gdy była tak blisko celu.

Jej ciało było tak drobnej budowy, a do tego wychudzone, że bez problemu przecisnęła się pomiędzy prętami ogrodzenia. Zamierzała zajrzeć do świątyni przez główne drzwi, by sprawdzić, czy jest w niej ksiądz. Jednak, gdy minęła drzwi zakrystii i przyjrzała się elewacji kościoła, zauważyła, że jeden z witraży został wybity, a z wnętrza rozbrzmiewały gniewne krzyki mężczyzny. Zaraz po tym wybiegły z niego dzieci, przed którymi wcześniej się ukrywała i gdyby tylko biegły w jej stronę tym razem nie zdążyłaby się przed nimi ukryć. Na szczęście pobiegły w innym kierunku, zapewne uciekając przed gniewem swego ojca.

Nie chcąc kusić losu, dziewczynka zmieniła swój pierwotny zamiar i zdecydowała, że spróbuje wejść do świątyni przez zakrystię. Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Okazało się, że drzwi nie były zakluczone. Otworzyła je, jak najciszej potrafiła i ostrożnie zajrzała do wnętrza — było puste. Gdy weszła do środka, jej nos uderzył zapach kadzideł używanych podczas liturgii. Choć w zakrystii była tylko ona, to z przeczności nie zamknęła za sobą drzwi.

Pod lewą ścianą stał stół nakryty czerwonym obrusem. Dziewczynka zauważyła na nim niedojedzoną bułkę z żółtym serem, niedbale porzuconą na białym talerzu, a obok szklankę niedopitej herbaty. Dla kogoś innego byłyby to resztki wzbudzające niesmak, lecz dla niej byłyby to przepyszna ucztą. Wiedziała, że nie powinna wyciągać rąk po cudze jedzenie, lecz nie mogąc nad sobą zapanować, dopadła do niego i pożarła je, po czym dopiła herbatę, prawie się nią krztusząc.

Od razu zalał ją wstyd i poczucie winy. Nie chciała kraść, lecz ta prymitywna potrzeba zaspokojenia wilczego głodu odebrała jej niewinność. Nie wiedziała, co zrobić. Przyszła do księdza, żeby prosić o jałmużnę, a tymczasem go z niej okradła. Znała go na tyle, by wiedzieć, że nienawidzi on złodziei i nigdy nie wstrzymuje swego gniewu, gdy ma do czynienia z jednym z nich.

Słyszała jego głos rozbrzmiewający we wnętrzu kościoła i choć nie mogła zrozumieć słów tłumionych przez zamknięte drzwi, to z emocji zawartych w tonie głosu księdza, wywnioskowała, że jest on bardzo czymś rozgniewany. Gdyby nakrył ją teraz na jej złym uczynku, na pewno by ją za to ukarał. Jedynym co mogło ukoić jego gniew był widok skruszonego grzesznika przyznającego się do winy i błagającego o wybaczenie, a i to nie zawsze działało.

Dziewczynka uczuła, że nie powinna ryzykować swej skóry. Nie dzisiaj, gdy kapłan był w podłym humorze. Gdyby teraz czmychnęła, ksiądz odkrywszy puste talerz i szklankę nigdy nie domyśliłby się, że to ona jest za to odpowiedzialna, a winą za kradzież zapewne spadłaby na jedno z jego dzieci.

Choć od dawna była tchórzem, to idea przerzucenia zasłużonej kary na innego człowieka, nawet przez nią znieenawidzonego, nie odpowiadała jej. Jeżeli jej prześladowcy mieli by zostać za coś ukarani to za ich własne zbrodnie, nie za czyjeś.

Dziewczynka zdecydowała, że przyzna się do swej winy. Przestraszona nadciągającą karą i ze łzami spływającymi po policzkach wymusiła w nogach posłuszeństwo, aby podejść do zamkniętych drzwi. Roztrzęsionymi dłońmi otworzyła je i weszła do prezbiterium.

Zobaczywszy scenę odgrywaną się w głównej nawie świątyni, znieruchomiała jak słup soli. Pod sklepieniem zdobionym malowidłem rozgwieżdżonego nocnego nieba niczym ogromne wahadło bujał się sakralny żyrandol. Na nim, trzymając szponami łańcuch i zapierając się stopami o zdobione ramiona uwieńczone płonącymi lampami, znajdował się anioł o szaro-brunatnych skrzydłach. Wydawał z siebie przeraźliwe okrzyki bólu i zażalenia. Jego wychudzone, nagie ciało pozbawione oznak płci znaczyły sińce, zadrapania i otwarte krwawiące rany. Twarz wykrzywiona cierpieniem co rusz zwracała się ku ołtarzowi, a szkliste oczy zdawały się kierować do samego stwórcy skargę na śmiertelników odpowiedzialnych za doświadczone katusze.

Lecz anioł nie był jedynym, który krzyczał. Poniżej w nieujarzmionej furii szalał ksiądz. Rzucił się od ławki do ławki, chwycił leżące na nich modlitewniki i ciskał nimi w stworzenie uczonego żyrandola. Obrzucał je soczystymi obelgami, przeklinał za zniszczenie witraża. Nie dostrzegał w obcej istocie świętości, wręcz przeciwnie, widział

w nim demonicznego potwora, który zamierzał zdevastować dom boży. Zaczerwieniona płonąca gniewem twarz księdza była dowodem na to, że nie zamierza on zezwolić na takie bluźnierstwo.

Dziewczynka obserwowała to wszystko bez słowa. Miała mętlik w głowie spowodowany tym surrealistycznym widowiskiem. Nie potrafiła otrząsnąć się z osłupienia, ponieważ wszelkie uczucia, które dałyby jej do tego siłę, nie miały chwilowo wstępu do jej wstrząśniętego umysłu. Święty mąż zaabsorbowany aniołem nie zauważał jej.

Nagle, hak mocujący łańcuch żyrandola do sufitu pękł, nie będąc w stanie dłużej utrzymać dodatkowego ciężaru. Anioł wraz z gasnącym światłem lamp z wraskiem runął pomiędzy ławy modlitewne. Ksiądz, widząc, że intruz znalazł się w zasięgu jego rąk, szybko dopadł do ściany, zdjął z niej okazały krucyfiks odlany z brązu i z krzykiem podbiegł do upadłego stworzenia. Raz za razem, bez opamiętania i bez miłosierdzia, potężnymi uderzeniami masakrował ciało niebiańskiej istoty. Poprzestał, dopiero gdy wszelkie siły go opuściły, a anioł był martwy. Z obłędem w oczach rozejrzał się po wnętrzu kościoła, a gdy zauważył małą dziewczynkę patrzącą na niego z przerażeniem wymalowanym na wychudzonej twarzy, zrozumiał, że była świadkiem mordu, który właśnie popełnił.

Kapłan upuścił krucyfiks i ruszył ku dziecku. W jego zdeterminowanym, ciężkim chodzie było coś złowieszczonego. Dziewczynka tkwiła nieruchomo, nie próbowała uciekać. Gdy kapłan był tuż przed nią, zdołała tylko wyszeptać:

— Przepraszam.

Wielkie dłonie mężczyzny spoczęły na jej ramionach. W innych okolicznościach odebrałaby ten gest za przyjazny, lecz nie w tych. Mrok wyzierający z jego oczu ograbił ją ze wszelkiej nadziei na otrzymanie przebaczenia. Wnet, szorstkie dłonie mężczyzny zacisnęły się na jej wątłej szyi. Jego uścisk był brutalny, bezwzględny; wyciskał z jej osłabionego ciała resztkę sił, aż pozbawione przytomności zawisło bezwładnie w jego rękach.

Wybudzenie z odmętów bóleści, którą się stała, było karą nie za zbawieniem. Zrozumiawszy, że ksiądz jej nie zabił, nie poczuła ulgi, lecz rozczarowanie. Wolałaby już się nigdy nie obudzić niż ponownie walczyć o przetrwanie i nieść w sobie cierpienie, które nie chciało jej opuścić.

Zdała sobie sprawę, że leży na zakurzonych deskach podłogi. Niewiele widziała, ponieważ w pomieszczeniu, do którego została zawleczona, jedynym źródłem oświetlenia było małe okienko przy suficie wpuszczające wąty snop wieczornego światła. Nim spróbowała się podnieść, dziewczynka popatrzyła w lewo i w prawo. Dostrzegała zarysy wielu rupieci, starych mebli i kartonów, a to wszystko posiadało charakterystyczne cechy użytku sakralnego. Uznała więc, że została przez księdza zamknięta w piwnicy plebanii. Nie wiedziała tylko w jakim celu trzymał ją przy życiu. Czyżby zamierzał się nad nią znęcać? Czy też nie wiedział, że przeżyła i zostawił jej domniemane zwłoki tutaj, by pozbyć się ich później?

Powoli przekręciła się na bok, podparła się łokciem i z trudem podniosła się do pozycji siedzącej. Choć nadal była zdezorientowana, zmusiła się do wstania. Zachwiało ją, gdy zakręciło się jej w głowie, lecz utrzymała równowagę. Rozejrzała się po piwnicy, zlokalizowała bardzo strome schody prowadzące w górę, podeszła do nich, po czym zaczęła wspinać się po nich na czworaka, tak była słaba.

Coś podpowiadało jej, że jej wysiłek spełni na niczym; drzwi na pewno będą zamknięte. Gdy dotarła do drzwi, okazało się, że są pozabawione zarówno klamki jak i otworu na klucz. Napierała na nie resztką sił, jednak te nawet nie drgnęły. Jej przecucie było trafne, została uwięziona. Spróbowała zawołać o pomoc, niestety głos zawiódł ją, a z obolałego gardła wydobył się tylko zachrypnięty szept.

Dziewczynka z rozpaczyny osunęła się na pierwszy stopień schodów i siedziała tak przez chwilę, zbierając myśli. Próbowwała obmyślić plan ucieczki, ale nie wiedziała, co mogłaby jeszcze zrobić. Skoro drzwi były zamknięte, którędy mogłaby jeszcze uciec?

Okno!

Ta myśl rozpałała w jej sercu umierającą nadzieję. Powolutku zsuwała się tyłkiem coraz niżej, stopień po stopniu, nie chcąc ryzykować schodzenia na roztrzęsionych nogach. W połowie drogi usłyszała za sobą skrzypnięcie, a zaraz po nim kolejne. Ktoś schodził po tych samych schodach co ona, ale przecież poza nią nikogo nie było w piwnicy. Przerazenie zmroziło jej krew w żyłach. Spojrzała w górę za siebie, ponieważ wiedziała, że jej strach zelżeje, gdy tylko przyjmie materialny kształt, który można zobaczyć.

U szczytu schodów stała czarna zmora.

Dziewczynka nie mogła uwierzyć, że maskara znalazła ją nawet tutaj. Nie pozostało jej nic innego, tylko szybciej zsuwać się po schodach, aby dotrzeć na dół jako pierwsza. Gdy tylko jej się to udało, wstała i zaczęła przedzierać się pomiędzy rupieciami zagracającymi wnętrze piwnicy. By dotrzeć do okna, musiała minąć wielki karton wypełniony wielkimi odłamkami kolorowego szkła. Przez głowę przemknęła jej myśl, że mogłoby to być szkło z witraża rozbitego przez anioła, lecz nie miała czasu się nad tym dłużej zastanowić.

Ciemna mara zesła już ze schodów i powoli podążała w jej stronę. Dziewczynka spojrzała na okno. Na zewnątrz było coraz ciemniej, niedługo zajdzie słońce. Co najbardziej przykuło jej uwagę to brak kraty po drugiej stronie okna, obecność klamki po wewnętrznej stronie oraz stojące pod oknem zniszczone pianino i stary stół. Widząc tę kombinację, uwierzyła, że uda jej się uciec.

Desperacja dodawała jej siłę, gdy wspinała się po stołku i instrumencie ku oknu. Strach przed upadkiem wprost na szklane sztylety z witraża wzmacniał jej równowagę. Złapała za klamkę, przekręciła ją i pchnęła okno, gdyż otwierało się na zewnątrz. Wspięła się wyżej na pianino, co pozwoliło jej przełożyć górną część ciała aż do pasa przez ramę okienną, która znajdowała się na równi z trawnikiem na podwórzu plebanii. Chwytała się długiej trawy i ostatnim wysiłkiem wygramoliła się cała z piwnicy. Czołgała się, postępując z bólu, któremu nie pozwalała się zatrzymać. Musiała uciec od zmy, uciec od księdza, ocalić życie i wrócić do domu.

Niestety, jej niedożywione ciało nie miało w sobie więcej energii na kontynuowanie walki. Dziewczynka omdlała i na wpół żywa przyłgnęła do zimnej gleby. Choć nie mogła ruszać członkami, to nadal mogła walczyć umysłem. Nie pozwalała sobie na utratę przytomności. Unosiła się na pograniczu jawy i snu. Oczy jej się zamykały; próbowała je otwierać, lecz przychodziło jej to z coraz większym trudem. Gdy niebo ogarnęła noc, poczuła, że nie ma sensu trzymać ich otwartych, skoro i tak nie mogła nimi niczego zobaczyć. Po raz ostatni zamknęła powieki i zapadła się w martwą ciemność, by już nigdy się nie obudzić. Przegrała.

Czarna zmy tylko na to czekała. Dopadła do jej ciała i pożarła je, lecz ta już tego nie czuła; niczego nie czuła, nic ją nie bolało.

Była wolna.

